

DWUTYGODNIK SPORTOWY

Wychodzi 15-go i 30-go każdego miesiąca. — Dodatki wyścigowe wychodzą w przeddzień każdego dnia gonitw.

Nr. 16. **Warszawa, dnia 18 (30) Listopada 1891 r.** **Rok I.**

Cena prenumeraty w Warszawie:
Rocznie . . . . . 6 rs. — kop.
Półrocznie . . . . 3 „ 50 „
Kwartalnie . . . . 1 „ 75 „
Pojedynczy numer 30 kop.
Dodatek wyścigowy 10 kop.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
w Warszawie
ulica Mazowiecka Nr. 11.

Cena prenumeraty na prowincyi, w Cesarstwie i zagranicą:
Rocznie . . . . . 7 rs. — kop.
Półrocznie . . . . 4 „ — „
Kwartalnie . . . . 2 „ — „
Ogłoszenia po 20 kop. za wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce.

REMONTY I HODOWLA.

(Ciąg dalszy).

Po Jenie i latach strasznych prób, kiedy Prusy od 1808 r zaczęły trochę oddychać i reorganizować się militarnie i administracyjnie, znów zwrócono się do poprawy hodowli krajowej i myśl remontowania się w kraju zaczęła prześwitywać. W 1816 r. minister wojny, jenerał Boyen, oświadcza się już stanowczo za zakupieniem koni dla jazdy w kraju.

W 1796 sprowadzono do Prus 30 ogierów pełnej krwi, a w czasie wojen napoleońskich, gdy przez zbliżenie stosunków między Anglią i Prusami kupna były ułatwione, importowano niemało koni z za morza. Usiłowania robione poprzednio przez rząd, oraz, doroczny znaczny napływ koni „gorącej krwi", bądź co bądź, musiały przekształcać chociaż częściowo typ limfatyczny krajowy — ale chociaż pewien procent remont można było znaleźć w kraju, to ten procent nie mógł być jeszcze dostatecznym i zachodziła zawsze trudność, jakim sposobem za niezbyt drogie pieniądze można nabyć dobrego wierzchowego konia — i jakiemi środkami zachęcić hodowców do produkowania koni suchych, rasowych, trudniejszych zawsze do wychowania od mięsistego pociągowca.

Im koń typu wierzchowego jest więcej uszlachetniony, tem jego zbyt jest więcej specyalny, trzeba nań „znawcy", jak się wyrażają po jarmarkach. Obyczaje wieku żądają pięknego karosyera lub konia do ciężarów — rządy potrzebują konia wierzchowego, od którego wymagają wzrostu, sprężystości, kości i muszkułów, oraz pewnej szybkości i wytrzymałości — czyż podobnego konia można kupić tanio i czy wogóle łatwo go dostać? W Prusach jednak przecięto ten węzeł gordyjski w bardzo praktyczny sposób: ułatwiono w najwyższym stopniu prywatnym hodwcom pokrywanie klaczy ogierami pełnej krwi lub pół krwi — i od tychże hodowców konie 3 letnie kupowano do remont.

Dla hodowcy zapewniony zbyt trzyletniego konia jest rzeczą niesłychanej wagi, tak pod względem kosztów wyżywienia, jak i wypadków, któremu zwierzę, im jest starsze, tem łatwiej podlega. Dla remont cena 3-letniego konia staje się przystępniejszą, a dobre żywienie i wyrobienie konia, będzie o wiele więcej odpowiadało jego przeznaczeniu

W tym celu, jeszcze za Fryderyka-Wilhelma III, powstała myśl, która została sformułowaną przez jenerała Günttera w raporcie z 24 listopada 1800 r., utworzenia kawaleryjskich wychowawczych depot dla młodzieży zakupionej od prywatnych hodowców. Projekt jenerała wyrażał, że ma być utworzonych sześć depot, z których każde mogłoby pomieścić około 550 sztuk młodzieży; zakupione trzylatki miały pozostawać w depot do 5-ciu lat — i od 1 czerwca do 1 października miały chodzić po pastwiskach.

Projekt utworzenia depot nabrał jednak ciała dopiero w 1821 r. Wówczas dobra koronne położone w Prusach wschodnich, których nie wydzierżawiono, zamienione zostały na zakłady wychowawcze dla remontowej młodzieży.

W tymże roku w prowincyach północnych pod przewodnictwem księcia Szleswig-Holsztein — Sonderburg — Augustenburg rozwijała się hodowla konia pełnej krwi i inaugurowano wyścigi. Kierunek ten w przyszłości nacechował się wybitnie na remontach niemieckich.

Dziś w Prusach jest 14 depot remontowych, a wychów konia bojowego tak się rozkrzewił, że Saksonia, Würtemberg i Bawarya przeważnie rekrutują swoje pułki w Prusach— niemniej Bawarya stara się naśladować system pruski i założyła pięć depot.

Przypatrzmy się teraz bliżej organizacyi tych stadnin wychowawczych.

III.

Każde depot remontowe, tak w Prusach, jak obecnie i Bawaryi, jest rodzajem folwarku gospodarczego, zostającego pod zarządem urzędnika cywilnego, noszącego miano „administratora“, który, obejmując swoje stanowisko, musi składać kaucyę.

Od 1818 r. zarząd stadnin w Prusach jest przyłączonym do ministeryum rolnictwa, i na jego czele stoi dygnitarz, noszący miano „naczelnego koniuszego“ (Oberlandstallmeister). Chociaż urzędnicy w stadach są cywilni, jednak większość ich służyła w wojsku. A komisya nadzorcza, opiekująca się hodowlą, składa się: z jenerała inspektora, pułkownika, majora i kapitana jazdy.

Zarządzający depot ma dodanego do pomocy jednego lub paru pomocników (Economie-Inspectoren), odpowiednio do rozległości gruntów. Pomocnicy ci są to dawni wojskowi, mający prawo do służby cywilnej.

Oprócz nich jest jeden lub więcej weterynarzy wojskowych, którzy czuwają nad zdrowiem i hygieną koni, i mają pod swemi rozkazami starszego koniuszego i mastalerzy w stosunku jednego na dwadzieścia koni; do roboty folwarcznej są parobcy stali i najemni.

Konie przychodzą do depot, mając trzy lub najwyżej trzy i pół lat wieku i pozostają tamże rok lub dwa, stosunkowo do ich wykształcenia się fizycznego.

Konie w depot są dobrze żywione i poddane hartownemu systemowi: stoją w bardzo pierwotnych, chłodnych stajniach bądź murowanych, bądź drewnianych po piętnaście do dwudziestu sztuk w jednej, nie wiązane i nie przykrywane. Drzwi od każdej stajni prowadzą na zagrodzony okólnik, na który konie wypuszczane są codziennie. Na każdym okólniku jest wodopój— a ziemia starannie jest zrównaną.

Dawniej, wypuszczano konie w pole, na znaczne obszary, ale z powodu częstych wypadków, jakie się zdarzały, bądź, iż konie byle czem spłoszone uciekały jak szalone i kaleczyły się, bądź, że biły się między sobą— zarzucono ten system — i trzymanie zwierząt pod ciągłym nadzorem w średniej wielkości okólnikach, uznanem zostało za najwłaściwsze.

Konie w depot nie są ujeżdżane, mają one w nich nabrać siły i tylko rozwijać się jak najprawidłowiej — ujeżdżanie zaczyna się dopiero w pułkach i trwa całe dwa lata.

W skutek tak oględnego dojrzewania fizycznego młodych koni, a następnie racyonalnego ujeżdżania ich, osiągają Niemcy ten skutek, że mogą zatrzymywać konie we froncie przeciętnie po lat dziesięć, i po tym terminie są jeszcze zdatne dla żandarmeryi, pociągów obozowych i t. p.

Młode konie przybywają do depot od 15 maja do połowy września i z góry już są przeznaczone do pewnych pułków, a pułki przysyłają co rok za remontem do 1 lipca.

W Prusach, przy ministeryum wojny, jest oddzielny wydział remont pod dyrekcyą jenerała lub pułkownika, noszącego tytuł jeneralnego inspektora remont.

Całe terytoryum pruskie i ziem niemieckich, pozostających pod zarządem ministeryum wojny, jest podzielone na sześć rejonów, z których każdy posiada specyalną komisyę do zakupu koni wojskowych.

Na czele każdej komisyi widzimy prezesa, będącego oficerem kawaleryi, w randze kapitana lub pułkownika. Działalność tych sześciu prezesów jest ciągła: planują w Berlinie, w ministeryum lub są w drodze w celach remontów.

Inni członkowie komisyi są dopiero naznaczani w czasie zakupów i do nich zaliczają się: dwóch pomocni-

---

ANTEK.

III.

W stajni wyścigowej hr. R.. było kilkunastu chłopców z różnych wsi, wziętych do nauki, a wygląd przedstawiali rozmaity.

Starsi, którzy od lat kilku jeździli już z końmi po różnych torach, włóczyli się „za granicami“, byli pełni rezonu i śmiałości; palili papierosy i nosili nawet stojące kołnierzyki i krawaty ze szpilkami. Młodsi byli potulniejsi, a starsi chłopcy posługiwali się niemi —zdarza się to zresztą nie tylko w stajniach wyścigowych, ale na wszystkich szczeblach hierarchicznych tego świata.

Obecnie cała ta młodzież była zgromadzona w dużej zadymionej czeladniej izbie za długim stołem i spożywała śniadanie. Stara wiejska baba porozstawiała na stole miski z żurem, a przy każdej z nich położyła potężny kawał razowego chleba. Jużto system intensywnego karmienia, praktykowany po stajniach wyścigowych względem koni, nie jest stosowany i do ludzi. Chłopców stajennych żywi się po chłopsku; jedzenia im się nie żałuje, lecz jestto strawa mączna, ciężka, rozpychająca i może dlatego tak mało mamy swojskich dżokejów, a nawet starszych chłopców stajennych, którzyby mogli jeździć doszedłszy lat męzkich.

Chłopaki śmieli się, żartowali, przedrzeźniali wzajemnie, lecz miski wysychały, a w chlebie porobione były potężne szczerby.

Antek przysiadł u samego końca stołu z miną młodego psiaka, który widzi przed sobą kość, lecz nie śmie się do niej przybliżyć; przekonawszy się jednak że nikt na niego nie zwraca uwagi, zabrał się do łyżki i zaczął szybko zmiatać żur, zagryzając chlebem.

Od wczoraj nie bardzo sobie zdawał sprawę z tego, co się z nim dzieje; nowe wrażenia tłoczyły się do jego młodej wyobraźni, a on nie był w stanie przyswoić ich, czuł się więc, jak odurzony. Lecz w tej chwili głód przezwyciężył wszystko, widział przed sobą tylko szary barszcz i zajadał go sumiennie.

Miłe to zajęcie zostało jednak zbyt szybko dlań przerwane. Za oknem mignęła krępa postać Kwiatkowskiego, który, jako pierwszy chłopiec stajenny i żonaty, jadał w domu. Starsi chłopcy, widząc go, zaczęli się zrywać, wołając: „czas do stajni, bo jak się spóźnimy, tłusty będzie wyklinać“. I niektórzy, zapalając papierosa, szybko wybiegali, inni leniwo i powoli podnosili się z ławek, lecz po chwili cała gromada była już na dworze. Antek, ocierając rękawem usta, pociągnął za nimi.

Kwiatkowski otworzył stajnię; chłopcy wbiegli do komory, przyległej do pokoiku z furażem i wnet każdy wychodził, niosąc na głowie siodło i przewieszone przez ramię derę i trendzel. Po chwili słychać było skrzyp roztwieranych drzwiczek od boksów i każdy chłopiec, podszedłszy do swego konia, wiązał go do siodłania.

Antek stanął na dawem miejscu, na progu korytarza stajennego i przyglądał się bieganinie; jakoś teraz nabierał otuchy, może wpływała na to i misa spożytego barszczu. Myślał: co oni, t. j. ci hardzi chłopcy, którzy mu imponowali, będą robić ze „śkapami“; po co tyle różnych szmat na nie nawlekają?

Zwolna przysunął się ku boksom, aby dojrzeć jak

ków, weterynarz (wzięty z pułku, konsystującego w tym rejonie, w jakim się ma działać), pisarz i odpowiednia liczba żołnierzy.

Każda z komisyi obraca się zawsze w tym samym okręgu, przez co zaznajamia się doskonale z lokalnemi warunkami. Jako prezes, obejmuje przewodnictwo rotmistrz i może na tem stanowisku pozostać włącznie do do rangi pułkownika, poświęcając niejako cały swój zawód remontom, których specyalność wymaga dużo zdolności i zamiłowania.

Komisye rozpoczynają swoje wycieczki za kupnem w miesiącu maju i kończą je w kwietniu.

Przed rozpoczęciem swej kampanii, każdy prezydujący ogłasza datę i miejscowości, w których się będą robić zakupy.

W dniu oznaczonym, komisya zjeżdża do wytkniętej miejscowości i kupuje odpowiednie konie 3 i 4-letnie.

Pułki jazdy, kosystujące najbliżej miejsca targów, są również powiadomione przez prezesa, aby przysłały do jego dyspozycyi potrzebną liczbę podoficerów i żołnierzy do odprowadzenia koni do depot.

Ze wszystkich prowincyj niemieckich, Prusy wschodnie dostarczają największy kontyngens remontom, albowiem 65% na 100.

Bawarya posiada odrębną komisyę remontową, która za konie krajowe, już odpowiednie do służby frontowej płaci, za pociągowego 1275 fr., za wierzchowca 1375 fr. I konie te są przeznaczone do szkoły kawaleryjskiej w Monachium.

Do swoich depot, jak już było powiedzianem, kupuje konie w Prusach.

(D. c. n.)

St. Wołowski.

OCHRONA KUROPATW W ZIMIE.

Jakkolwiek zakreślony prawem czas, w którym wolno polować na kuropatwy, kończy się dopiero w połowie lutego, każdy jednak dobry gospodarz-myśliwy skrócić go sobie powinien mniej albo więcej, stosownie do temperatury i stanu powietrza w twardej jesieni i na początku zimy, a zawiesiwszy broń na kołku, z wroga i prześladowcy stać się ich przyjacielem i opiekunem.

Dopóki jeszcze jest ciepło, dopóki *grzebiące* ptactwo może wszędzie znaleźć pożywienie z łatwością i chronić się w podszytych rżyskach, trawach, zaroślach i krzakach, okrytych chociażby więdnącym i pożółkłym już liściem, i dopóki wreszcie na szarem jeszcze polu łatwiej może uniknąć bystrego wzroku nieprzyjaciół — dopóty też tylko i myśliwy, dobrze rozumiejący własny interes, korzysta z przysługującego mu prawa. Ale, gdy mrozy zaczynają ściskać ziemię; tembardziej zaś, gdy nadto śnieg ją zasypie i ubieli, wszelkie na nie polowanie ustać powinno. Wtedy bowiem, do licznych nieprzyjaciół, czyhających w każdej porze roku na tę wyborną zwierzynę, przybywa jeszcze głód, zimno i wielka trudność ukrycia się, które nietylko niszczą ją same przez się, ale i innym ułatwiają jej tępienie.

Głód i mróz—straszne to wrogi dla tego biednego ptactwa; zgłodniała kurupatwa prędzej ginie od zimna, a osłabiona i przemarznięta nie ma dość siły, żeby z ziemi zlodowaciałej jakie ziarnko sobie wydobyć. Wtedy to i drapieżny jastrząb, albo puhacz łatwiej ją dopatrzy i uderzy na tę zdobycz bezbronną, łatwiej także i przebiegły łotr, lis stary, podejdzie ją, podkopując się w śniegu, a gorszy od nich kłusownik objedzie i za jednym strzałem pół stada sprzątnie, albo całe pochwyci w sieci.

Przykro, istotnie, patrzeć na te, do połowy zagrzebane w śniegu, zbite kupki kuropatw, przytulonych do

---

nakrywano konie kraciastemi derkami, jak im opinano głowy, jak mu się zdawało, w jakieś worki i owiązywano pończochami nogi. I gdy tak, coraz bardziej zainteresowany tą tajemniczą robotą w klatkach, wysunął się na środek korytarza, naraz uczuł się silnie popchnięty, a odwróciwszy głowę, ujrzał grubego mężczyznę, który go trzymał za ramię i usłyszał wyrazy:

— Co to za chlopaka, co tu robi, po co tu przyszla?

Antek struchlał, głos mu zamarł w piersi, powieki drżały jak do płaczu i tylko machinalnie lewą ręką zdjął czapkę z głowy.

Średnich lat mężczyzna, przybrany w długie futrzane palto i bobrową czapkę z daszkiem wysuniętym na oczy, powtarzał ciągle:

— Co za chlopaka, co robi?

Kwiatkowski ze śmiechem przyskoczył i rzekł:

— Wszak pan kazał poszukać lekkiego chłopca i właśnie przyprowadziłem go wczoraj.

— To ta chlopaka.

— A tak.

— Mizerna jakoś.

— Bo bieda w domu - odgryzie się. Ale co lekki, to lekki.

A ile ty trzyma funty, ważyla się? — zwrócił się znów otyły mężczyzna do Antka.

Chłopczyna kręcił tylko czapkę w palcach i z ukosa zerkał na Kwiatkowskiego, który przerwał:

— On tam nie wie co to waga i funty, ale że lekki, to lekki—i uchwyciwszy Antka za sukmanę przy karku, uniósł go z ziemi—może sto funtów, a może i tego nie będzie—zaśmiał się, widocznie zadowolony z wyszukania takiego rekruta.

— Wszystkie konie gotowe?—odezwał się otyły p. William, przybyły z Niemiec trener i pan wszechwładny w stajni i niezważając więcej na Antka, przechodził się po korytarzu, lustrując spojrzeniem klatki.

Chłopcy siedzieli już na posiodłanych i zakapturzonych koniach, czekając tylko skinienia do wyjazdu.

— Armida, Blau Miss, Henrietta, Levrier hat gut gefressen – badał trener.

Kwiatkowski, który, obcując ciągle z tnenerami cudzoziemcami, miał dar szczególny porozumiewania się z nimi, nie mówiąc po niemiecku, ani po angielsku, odpowiedział:

— Trochę w żłobach zostawiły, ale nie wiele.

— A u starego Ajaksa noga nicht sehr warm? bandaża jest?

— Przyłożyłem, niema nic złego.

— No, to idzi na dwór.

I na skinienie master Williama, z pierwszego boksu od ściany, wyjechał chłopiec na rosłym gniadym koniu, tym samym, którego się tak wyląkł Antek, a za gniadym, poczciwym, starym Ajaksem, leaderem całej stajni, wychodziły gęsiego, najczęściej skulone i potrząsając głowami kasztany, kare i gniade konie.

Kwiatkowski dosiadł skaro-gniadego czupurnego ogierka i ostatni wyjechał ze stajni.

IV.

Ranek był mroźny, ziemia lekko ścięta, a kałuże pokryły się cienką szybą lodu. Błękit nieba miejscami przedzierał się przez szarą oponę chmur.

Konie z powodu grudy nie mogły iść w pole i „robota” miała się odbywać na zimowem słomianem kole.

siebie, żeby się ogrzać ciepłem wzajemnem, albo na zgłodniałe i przebiegające każdy kawałek mniej zasypanej i czerniejącej się ziemi, żeby na nim znaleźć jakiekolwiek pożywienie. Litość naprawdę bierze, widząc je, jak cisną się koło stert i stogów, jak podchodzą pod same stodoły i chałupy, siadają na dachach i śmieciskach, jak wlatują do ogrodów, między gumna, jak zapadają po podwórzach, dziedzińcach i klombach przed samym dworem, i jak nieraz, z wyciągniętemi szyjkami i podniesionemi główkami, cierkając żałośnie, podbiegają do samych mieszkań ludzkich z obawą i nadzieją, jakby wzywały miłosierdzia i o jałmużnę prosiły. Odmawiać im wtedy pomocy, a co gorsza, przyjąć je strzałem morderczym, byłoby bezmyślnem okrucieństwem: kogoby jednak napadała podobna pokusa, niech sobie przypomni rozrzewniającą litość i miłość dla zwierząt świętego Franciszka z Assizu, albo pełną dobroci i zacną oględność dzielnego myśliwca i naturalisty, zmarłego Kazimierza Wodzickiego.

Ochrona kuropatw w zimie na dwóch rzeczach polega: na dostarczaniu im pożywienia, i na obronie od niszczycieli. Gdzie niema lisów, kun, łasic, jastrzębi, sów i innych szkodników, gdzie psy i koty nie włóczą się samopas po za domem i gdzie w polach są gęste, a niskie zarośla i krzaki, tam zadanie to bardzo jest ułatwione. W przeciwnym zaś razie, nadzór i opieka stają się nieco skomplikowane i muszą być troskliwsze; a im mrozy silniejsze i śniegi większe, tem i ochrona powinna być prowadzona z większym rygorem. Jeżeli niema stosownych krzaków i zarośli, stanowiących dostateczne i naturalne dla kuropatw schronisko, jeżeli są w ilości nieodpowiedniej i w miejscach niewłaściwych, wtedy należy je zastąpić przez urządzenie sztucznych miejsc ochronnych, czyli *remiz*, które nietylko zimą ale i latem oddają nadzwyczajne usługi, stanowią jakby fortece, do których kryje się zwierzyna przed nieprzyjacielską pogonią, gdzie w czasie upałów letnich znajduje chłód i odpoczynek spokojny, a w razie głodu mieć powinna chociaż skromne magazyny żywności.

Ilość potrzebnych remiz zależy od rozległości gruntów, od obfitości zwierzyny i od tego, czy pola są więcej lub mniej odkryte. Doświadczenie jednak uczy, że na każde dwie włóki czystego pola, chociażby zwierzostan był bogaty, jedna wystarczy; może ich nawet stosunkowo być i mniej, jeżeli są odpowiednie zarośla i krzaki. *Remizy* zakładają się — dla oszczędzenia dobrego gruntu—w miejscach najmniej zdatnych do uprawy, wynioślejszych, a w braku wzgórków, na równych, nigdy zaś na niskich i wklęsłych. Nie zakładają się też na miejscach zasłoniętych, w bliskości lasów, podejrzanych o kłusownictwo siedzib ludzkich i cudzych granic, chybaby sąsiad był człowiekiem, na którego sumienność liczyć można i równie dobry gospodarz-myśliwy.

Remiza powinna być widoczna z daleka i, o ile można, z każdej strony, a wszystkie te ostrożności dążą do tego, żeby sobie ułatwić nadzór nad nią, żeby kłusownik nie miał jej pod ręką, żeby, skradający się do niej zwierz drapieżny lub złodziej, łatwiej mógł być dostrzeżonym i żeby w czasie odwilży, roztopów, deszczów nie była zalewaną.

Tak obrane miejsce na remizę, która zajmować powinna około 300 łokci kwadratowych i być dłuższą niż szerszą, zasadza się dość gęsto jałowcem, ligustrem, cierniem, akacyą i innemi krzewami, których owoce dają pokarm kuropatwom, a całą tę przestrzeń przecina się na krzyż ścieżką na parę łokci szeroką. Remiza nie potrzebuje być wyższą nad dwa do półtrzecia łokcia; wyżej wyrastające krzaki, należy z wierzchu przycinać, żeby się gęściej krzewiły. Zadanie jest znacznie ułatwione, jeżeli na polach, w odpowiednich powyższym warunkom miejscach, znajdują się już samorodne zarośla i krzaki. Jeżeli są za małe, trzeba je tylko przez dosadzenie odpowiednich powiększyć, zagęścić, nadać kształt właściwy i przeciąć dróżką krzyżową. Jeżeli są za rozległe i łączą się jeszcze z większemi lub lasem, należy odciąć tę ich część, która najgłębiej w pole zachodzi, wyciąć z niej większe drzewa, żeby się na nich jastrzębie i sowy nie zaczepiały, uzupełnić i zagęścić jak tamte, a nadto, o ile

---

Owe koło znajdowało się na łączce o kilkaset kroków od stajni, jakby w przedłużeniu parku, a od pola zasłonięte było ścianą z drzew.

Ajaks prowadził cały łańcuch koni; postępowały one jedne za drugiemi, prychając, od czasu do czasu podskakując lub rzucając zadem.

Wygracowana, wysypana piaskiem uliczka prowadziła do słomianych szranek.

Master William postępował z tyłu, za swemi pupilami, podpierając się grubą laską.

Antek sam nie wiedział co ma zrobić: pozostać w stajni, czy iść za końmi; ciekawość jednak przemogła i pociągnął, jakby skradając się, w należytej odległości od grubego Anglika.

Konie weszły na obszerne koło, zakreślone o ile możności o wygodnych łukach. William stanął w środku, pilnie śledząc ruchy każdego konia i, jak to mówią, „jakby licząc gwoździe w ich podkowach". Duża, wygolona, o drobnych rysach twarz anglika, opalona od słońca i mrozów, wydawała się zdaleka jakby czerwonym kawałem mięsa, a jednak, w tej tłustej masie, bystre, badawcze, niebieskie oczki zdradzały myśl i spryt. Objąwszy wzrokiem jakiś przedmiot, szczególniej, gdy tym przedmiotem była noga końska, widocznem było, jak analitycznie się nim zajmuje. Uchodził też za jednego z najwytrawniejszych trenerów w kraju. Utrzymywano, że umie on stosować robotę specyalną i wyłączną do każdego konia; a takie, umiejętnie pojęte, specyalizowanie treningu, jestto panaceum sztuki.

Konie obeszły kilka razy koło stępem, zmieniając dyrekcyę na prawo i na lewo, następnie ruszyły wolnym kłusem i tu się rozpoczęły nieskończone skoki i wierzgania; niektóre tak biły zadami, że literalnie ogonem dotykały głów swoich jeźdźców.

Starsi chłopcy, silniejsi, trzymali się tęgo, przeginając ciało umiejętnie, stosownie do ruchów konia; mniejsi bywali podrzucani na siodle, jak piłki i tylko cudem równowagi, znajdowali się znów w siedzeniu.

Na robotę wyszło piętnaście koni, lecz tylko jeden stary Ajaks kłusował flegmatycznie i spokojnie, inne hulały, zużywając nadmiar życia i sił.

Starszych koni było bardzo mało w stawce, zaledwie cztery sztuki; reszta składała się z trzylatków i dwulatków.

Nagle, jakiś kary, wysmukły źrebiec podskoczył wszystkiemi czterema nogami do góry, następnie wykręcił młynka, a mały chłopiec, który na nim siedział przeleciał mu przez głowę, jak kula.

Master William zaczął krzyczeć, jak oparzony, wymachując kijem i wymyślając po angielsku i łamaną polszczyzną.

— A podla chlopaka, koń kaput, zabije się!

Kary jednak, wybiegłszy z koła na zmarzniętą ziemię, przystanął, roztwierając chrapy i podnosząc ogon do góry, jak pióropusz. Chłopiec zerwał się szybko i pocierając ręką udo, podbiegł do konia i zręcznie uchwycił go za cugle.

Tym razem więc czarne przypuszczenia master Williama nie ziściły się, a chłopiec, podrzucony przez trenera, znów zajął na siodle swoje miejsce i rozciągnięty pluton dalej ruszył kłusem.

(D. c n.)

A. S. W.

miejscowość i warunki gospodarstwa rolnego i leśnego pozwalają, oddzielić je zupełnie czystem polem od większych krzaków i lasu, przez wycięcie lub wykarczowanie pewnej przestrzeni, która łącznik stanowi. Nareszcie, nizkie jeszcze i gęste zagajniki, wśród pól odosobnione, stanowią same przez się bardzo dobre miejsca ochronne.

Dopóki tylko trwają mrozy i śniegi, do takich sztucznych, czy naturalnych remiz sypie się dla kuropatw pokarm, złożony z pośladu różnego zboża, *zgonin*, z domieszką *co łaska*, lepszego i posilniejszego ziarna i wstawia się snopki nieomłóconego owsa; a im większy jest ucisk na zwierzynę, tem obficiej i staranniej powinna być karmioną. Lepiej wszakże dawać jej jeść w mniejszej naraz ilości, byleby codziennie, a nawet parę razy na dzień, niżeli od razu na dni kilka; albowiem kuropatwy mogłyby w jednym dniu zjeść wszystko i nic nie mieć na następne, albo też łatwiej mogłyby być odjadane i ogładzane przez nieproszonych gości.

Jeżeli remizy dobrze są urządzone, jeżeli kuropatwy znajdują w nich bezpieczeństwo, spokój i pożywienie dostateczne, prędko przyzwyczajają się do nich, a nawet do człowieka, i po niedługim czasie stają się na wpół oswojone. W zimie zwłaszcza można zobaczyć, jak w chwili, gdy im zasypują pożywienie, odzywają się pocichu, pokazują się z gąszczu i wychodzą nawet na ścieżki. Wprawdzie widzieliśmy coś więcej: na głos trąbki myśliwskiej, przybiegające stada dzików, i o kilkanaście kroków od strzelca, pożerające rzucany im przez niego pokarm, ale, było to w zamku ks. Nasauskiego pod Wiesbadenem — nie u nas.

Przy ogólnie smutnym stanie naszego gospodarstwa łowieckiego, rzadko gdzie są już dawniej, zawczasu przygotowane remizy. W listopadzie zakładać je już nie pora. Gdzie więc niema ich dotąd, a do tego brakuje i naturalnej w krzakach ochrony, tam kuropatwy wystawione są na wszelkie niebezpieczeństwa i przez jednę zimę mogą zupełnie wyginąć. Zapobiegając temu, należy po polu, w miejscach dla remiz odpowiednich, zwłaszcza na oziminach, w blizkości ogrodu, stodół i innych zabudowań, ponakładać choćby niewielkie szychty gałęzi sosnowych, dłuższe i szersze niż wysokie i dość gęsto złożone, i do takich ochronek, które można robić w zimie i naprędce, sypie się pożywienie jak do remiz. Będzie to przytułek niedostateczny, tymczasowy i na lato niezdatny, zawsze jednak bardzo pomoże kuropatwom do przetrzymania zimy.

Nie dosyć przecież pobudować te fortece i zaopatrzyć w żywność, potrzeba jeszcze czuwać, żeby się do nich nieprzyjaciel nie dostał i walczyć z nim na otwartych polach, po których kuropatwy lubią biegać, bujają i przelatują z miejsca na miejsce. Kilka razy dziennie, a nawet i w nocy, strzelec lub inny dozorca, powinien z bronią obchodzić remizy; łatwo bowiem może ubić myszkującego lisa lub czyhającego jastrzębia. Jeżeli te i inne drapieżne zwierzęta nie zostały zawczasu wytępione przez wybieranie gniazd, somołówki, żelaza i t. p., trzeba to czynić wszelkiemi sposobami i w zimie. Gdy tych szkódników jest więcej, a lisy zakradają się do remiz, służących zwłaszcza za schronienie i dla zajęcy, dobrze jest około nich, lecz niezbyt blizko, pozakładać w śniegu trutki z małych rybek przygotowane; wprawdzie, może się zdarzyć, że którą weźmie i pies włóczęga, polujący na własną odpowiedzialność, ale go żałować nie będziemy. Jeżeli ślady koło remiz lub na zamiecionych wewnątrz ścieżkach wskazują, że zaglądają do nich łasice, bierze się jajek gołębich, surowych, wpuszcza się do każdego przez małą dziurkę w skorupie po kilka kropel tynktury *opii simplicis*, a zasmarowawszy otwór woskiem, wkłada się po parę do każdej remizy; łasica zje jajka na pewno, i albo zdechnie odrazu, albo tak się odurzy, że ją żywcem wziąść będzie można. Przy większej ilości jastrzębi i innych drapieżnych ptaków, trzeba je strzelać, o ile na to pozwalają okoliczności i pora, przy żywym albo wypchanym puhaczu. Kunom, psom bez klocków i kotom także się nie przepuszcza. Rozumie się, że przed temi wszystkiemi wrogami zwierzyny, należy mieć najbaczniejsze oko na kłusowników, jeżeli znajdują się w okolicy; wyszukiwać, niszczyć wszelkie zastawione sidła, zanęty i przygotowane kryjówki, a samych złodziejów ścigać, odbierać im broń, narzędzia przestępstwa i pociągać ich do odpowiedzialności.

Jeżeli w zimie otoczymy kuropatwy taką opieką i szczerze zajmiemy się ich losem, i jeżeli instytucye policyjno-administracyjne i sądowe będą przychodzić — o czem wątpić nie można — z energiczną i skuteczną przeciwko brakonierom pomocą, wtedy można być pewnym, że kuropatwy, jakie z jesieni pozostały, przechowają się zdrowo, z małym bardzo ubytkiem, będą silne, przywiążą się do miejsca i za podjęte dla nich trudy i koszt niewielki, wydadzą na wiosnę liczniejsze i piękniejsze potomstwo.

Do ochrony kuropatw w zimie należy jeszcze bardzo ważna czynność, to jest przehodowanie ich domowe.

Konrad M.

KORESPONDENCYA.

Z nad granicy węgierskiej.

Zaproszony na polowanie przez jednego z sąsiadów, zamieszkałego w powiecie Liskim, nad granicą węgierską, wsiadłem do wagonu i przybyłem po kilkunastogodzinnej jeździe do stacyi Łukawicy, gdzie już na mnie i towarzyszy wyprawy oczekiwały furmanki, które nas do miejsca przeznaczenia zawieźć miały: na wózkach powozili Rusini o długich, zdaje się nigdy nie czesanych włosach, wypomadowanych słoniną lub innym niezbyt pięknie woniejącym tłuszczem, w ubraniu podobnem do tego, jakie noszą nasi górale — typowe postacie. Na zrobione im zapytanie, czy jest zwierzyna, odpowiedzieli: „O je, olenie ryczut, są dyki i mieźdwiedzie".

Na stacyi spotkaliśmy leśniczego, wypróbowanego myśliwego, który nas zapewnił, że musielibyśmy chyba mieć wielkie nieszczęście, ażeby się ze zwierzem nie spotkać. Otucha i nadzieja wstąpiły w nas, iż przecież wyprawa ta nie będzie próżną. Jechaliśmy do Żubracza, majętności pp. S., położonej o dwa kilometry od drogi bitej, prowadzącej na Węgry. Gościniec, wijący się wśród ślicznych lasów, prowadził przez Cisnę na Lisko, Baligród, dawną siedzibę Balów, miejsce ulubione w opowiadaniach Kaczkowskiego o ziemi sanockiej. Dziś ani śladu po nich, *sic transit gloria mundi*; za to mnóstwo brudnych żydów i lichych lepianek. Gdyśmy przejeżdżali doliną, nad strumykiem, wśród dwóch pasm dość wysokich gór, porosłych lasami, powitał nas na wstępie orzeł, zataczający koła, het pod chmurami; nadciągnął jednak dość blizko i gdyby sztucer był nabity, można go było ściągnąć na ziemię, którą z wysokości zdawał się pogardzać.

Zajechaliśmy przed domek schludny, miły, o dwóch oknach frontowych, powitał nas w nim nadleśniczy dóbr kapituły przemyskiej, p. O., ze swemi znakomitemi psami dzikurami: Bosym i Menem, ogarami: Śpiewką i Neronem, do których przyłączył się przywieziony przez p. Z. Zagraj. Posiliwszy ciało, wybraliśmy się zaraz na nocną zasiadkę na dziki i niedźwiedzia, które wspólnie robią szalone spustoszenia w owsach, ziemniakach i t. d. Nic na nas wprawdzie nie wyszło, ale za to nasyciliśmy uszy nasze rykiem jeleni; jeden drugiemu odpowiadał, a echo roznosiło ich głos po górach i lasach, napełniając piersi nasze miłą nadzieją zapoznania się z tym królem naszych kniei.

Wieczór przeszedł na opowiadaniach myśliwskich, z których dowiedzieliśmy się, że niedźwiedzie, wilki, rysie, dziki i jelenie są stałymi mieszkańcami tej błogiej krainy, i rzeczywiście, gdy się człowiek do tych niebotycznych drzew, do tego lasu dziewiczego dostanie, gotów uwierzyć, że się i dja-

beł w nich gnieździć może. Nazajutrz rano urządzono obławę z ludźmi i psami; Rusinów kochanych, pomimo, że ciągle narzekają na szkody przez zwierza wyrządzane, stawiło się tylko dwóch. Nieszczęśliwą wybraliśmy porę przyjazdu, zastaliśmy bowiem żniwa w pełni i w skutek tego, naturalnie, ludzie byli w polu zatrudnieni; łatwo sobie przeto wytłómaczyć, że w kniei tak ogromnej nic zdziałać nie mogliśmy. Psy wprawdzie głosiły, ale zwierz wziął inny kierunek i poszedł w światy, jedna suczka, „Śpiewka", nie wróciła, aż w niedzielę. Dwudniowe nasze łowy były więc zupełnie nieszczęśliwe, raz wprawdzie słyszałem łomot gałęzi, były prawdopodobnie dziki, ale się zwróciły i nawet nie ujrzeliśmy ich wcale. Dzielny Bosy tylko upolował wcale pokaźnego rogacza, i z nim powróciliśmy do domu trochę ze spuszczonemi nosami. Leśniczy, p. O., namawiał nas, ażebyśmy jeszcze zostali i do niego przyjechali, a z pewnością strzelać będziemy. Część myśliwych, czasu nie mając, wyjechała, a ja z dwoma towarzyszami podążyliśmy do Woli Miechowej. Pomimo, że w Żubraczu szczęścia nie mieliśmy, lecz gościnność prawdziwie staropolska naszego kochanego gospodarza, urocza okolica, knieja, o jakiej się nie marzyło, pewność, że zwierz jest i ciągła nadzieja, że wyjść musi, humory znakomite i wesołe towarzystwo sprawiły, iż czas nam schodził szybko, miło, pozostawiając niezatarte wrażenia na życie całe.

Lasy tutejsze są oryginalne, w całem znaczeniu dziewicze; drzewa kolosy, których czterech lub pięciu ludzi opasać nie może, poprzewracane gniją, jedna kłoda leży na drugiej, czekając cierpliwie wywozu, który nigdy nie nastąpi; pniaki sterczą na wysokość człowieka, gdyż Rusin za wygodny, ażeby miał się schylać przy cięciu drzewa, przy tem, mnóstwo złamisk, suchych drzew, gałęzi, sprawiają dziwne wrażenie i poniekąd żal, że takie skarby niszczeją bez żadnego pożytku. Gdyby kiedy kolej przechodziła tędy, miliony dałyby się wyciągnąć — ale może i lepiej, że tak jest, a nie inaczej, gdyż wkrótce zniknęłyby te urocze knieje ze zwierzem, którego musielibyśmy szukać het daleko, gdy tymczasem teraz jest u nas, na naszej ziemi, w takiej obfitości. Przyjechawszy do Woli Miechowej, mającej pretensyę, że jest miasteczkiem może dla tego, że rynek jest otoczony lichemi domostwami żydowskiemi i rusińskiemi i spożywszy skromną przekąskę, udaliśmy się po południu d. 13/9 na polowanie w towarzystwie wiernych piesków i 8-miu pogonki. Pierwszy miot znów niefortunny; jedziemy do drugiego. Zsiadłszy z wozu idziemy wygodnie szczytem góry prawie na granicy węgierskiej; z jednej strony knieje mikowskie, z drugiej baligrodzkie. Pierwszy staje p. Z., drugiego mnie stawiają, przestrzegając, ażebym pilnował parowu, znajdującego się przedemną, dalej staje p. B., jeszcze dalej p. O., leśniczy, na końcu obywatel tamtejszy p. B. Rozglądam się na mojem stanowisku: w około ogromne drzewa jodłowe i bukowe — przedemną kilka kłód i pniaki—na dole w parowie gąszczyk bukowy, z lewej strony parowek, idący z góry na dół. Przysłuchuję się, czy grania psów nie usłyszę—cisza zupełna. Od czasu do czasu tylko wiatr w wierzchołkach zawyje i znów cicho. Siedziałem, a raczej stałem tak dobrą godzinę, gdy nagle z daleka dochodzi mnie z początku cichy, później coraz mocniejszy tentent; myślę sobie, „psy znów idą bez skutku", lecz słychać łomot coraz głośniejszy. Nie, nie ma wątpliwości, idą dziki lub jelenie, teraz już tentent, łomot, huk, jakby się las walił, jakby kilkunastu jeźdźców na rozhukanych pędziło koniach. Pada strzał jeden i drugi—ja cały jakby w febrze. Tysiące myśli krzyżuje się w głowie, a jedna dominująca: ażeby zwierz na mnie przyszedł. Życzenie moje spełniło się, gdyż właśnie w tej chwili na pięćdziesiąt kroków wysuwa się jeleń ogromny, mam się już do niego złożyć, lecz w ręku mam lefanchówkę, nabitą kulami... Tentent po za mną się wzmaga, wypadają dwie sztuki wprost na mnie, na sztych, już są na pięć kroków. Składam się; zimna krew powraca, strzelam raz — nic; strzelam drugi raz—przewraca się jeleń, ale natychmiast powstaje i znika. Przeczekawszy z minutę, idę na miejsce strzału, z drugiej strony przybiega do mnie p. Z., farby mnóstwo, jestem spokojny, że jeleń leżeć musi w gąszczu przedemną. Wstrzymuję Rusinów, nadbiegających z krzykiem i hałasem, gdyż lepiej aby jeleń się ułożył i farba ubiegła, inaczej jeżeli gonić go zaraz będziemy, pójdzie milę i dalej. Lecz równocześnie dochodzi do nas wołanie: „leży, leży". Biegniemy w tę stronę i rzeczywiście przed nami leży śliczny *szóstak*, którego łeb i rogi, wkrótce mój pokój zdobić będą.

Na zakończenie opisu tej wyprawy, kilka autentycznych zdarzeń myśliwskich z tamtej okolicy, które tak p. O., jak i miejscowi obywatele poświadczyć mogą. Przeszłego roku w zimie, ludzie, idący do kościoła, słyszą tuż przy drodze okropny łomot. Zatrzymują się i widzą niedźwiedzia walczącego z odyńcem; naraz obydwaj spadają do zamarzłej rzeczki, znajdującej się tuż przy drodze, odyniec się załamuje i w obliczu mnóstwa ludzi, niedźwiedź go pozbawia życia; ponieważ i niedźwiedź był mocno zraniony, łatwo byłoby go ubić widłami, ale nikt nie śmiał do niego się zbliżyć, uszedł więc wolno do kniei.

Również w roku przeszłym, Rusin wyszedłszy wieczorem do owsa, który mu niszczyły niedźwiedzie i dziki usiadł na pniaku. Naraz, przy blasku księżyca, widzi wychodzącego niedźwiedzia, strzela, a niedźwiedź idzie prosto na niego; strzela po raz drugi i nie patrząc, co się stało, rzuca strzelbę i ucieka; na drugi dzień powraca w to samo miejsce i zastaje dwóch padłych niedźwiedzi. Pyszna dubleta! Drugi niedźwiedź wystraszony strzałem, a omylony echem, do lasu uciekał i przypadkowo szedł na Rusina, który myślał, że to ten sam i celnym strzałem ubił go również. Czemuż to się nam nie wydarzyło!

Niedźwiedź jest tam stałym zwierzem, ma swoje gawry, t. j. norę wykopaną pod drzewem, wysłaną liściem, mchem i przykrytą gałęziami, w której zimę przebywa. Wilków dużo zimą, znaczne wyrządzają szkody, a dzików przez cały rok mnóstwo; jelenie zaś, gdy śniegi zaczną spadać, wynoszą się na węgierską stronę. Dodawszy do tego rysie, cała nasza wielka fauna europejska jest tam zgromadzoną. Oprócz tego mnóstwo jarząbków, na które jednak nie polowaliśmy. Będąc grubym zwierzem zbyt zajęci, nie pomyśleliśmy o tem, tak milem, polowaniu na wabika.

Fr. Łubieński.

WSPOMNIENIA
O POLOWANIACH I KONIACH

przez

J. G. Whyte Melville'a.

(Z angielskiego).

ROZDZIAŁ III.

O używaniu cugli.

Nieboszczyk pan Maxse, znany przed laty pięćdziesięciu z ręki tak lekkiej, że mógł przejechać hrabstwo Leicester, nie narażając się na tyle wypadków, co inni sportsmani, wagi równie jak on ciężkiej i których zwyczajem było trzymać się blisko psów, w następujący sposób, pewnego razu wytłómaczył swemu stangretowi, nie mającemu pojęcia o tej cennej zalecie, za pomocą chustki okręconej naokoło słupa, o co mu chodziło:

— Ciągnij do siebie!—wołał—czy cię ciągnie?

— Tak, panie—odpowiedział służący, śmiejąc się.

— Trzymaj wolniej: czy ciągnie jeszcze?

— Nie, panie.

— Widzisz, durniu, konie twoje są jak ten słup. Jeżeli nie będziesz ich ciągnął i one ciebie ciągnąć nie będą.

Zdaje się, że nam właśnie o to chodzi, żeby konie nasze, pociągowe czy wierzchowe, nauczyły się nie ciągnąć, gdy my ich nie ciągniemy.

Do podobnego porozumienia dojść można tylko de-

likatnością dotknięcia, wspólnością zamiarów i zgodą, którą określamy ogólnikowem wyrażeniem „ręki“. Tak jak delikatne dotknięcie w grze na fortepianie, pożądana owa zaleta, jest raczej darem, niż nabytkiem, i jest tak rzadką, że człowiek postarał się licznemi wynalazkami zastąpić ów naturalny brak zręczności.

Sławny sportsman z Yorkshiru, pan Fairfax miał za zasadę że: „każdy koń może być hunterem, o ile nieumiejętnem użyciem cugli, nie narazimy go w skoku na upadek”. Sposób jego jeżdżenia konno był w zupełnej zgodzie z tą zasadą.

Wędzidło i cugle, będące z pewnością powodem dziesięciu wypadków na jeden, od którego nas ochronią, są jednak złem, nieuniknionem, gdyż bez nich nie moglibyśmy sobie dać rady; lecz jeżeli kto umie się niemi zręcznie posługiwać, dopomagając sobie także kolanami i ruchami całego ciała, udzielają one koniowi zamiarów jeźdźca jakimś dziwnie subtelnym sposobem, prawie równie szybkim, jak myśl. Niepodobieństwem jest określić ową łączność, jaka istnieje pomiędzy koniem, mającym odpowiedni munsztuk, i tym, który go prowadzi; zdają się działać pod wpływem jednego uczucia, i pragnienie, utrwalenia lub utworzenia podobnego porozumienia, stało się powodem tylu nadzwyczajnych pomysłów, po większej części bardzo przykrych. Znaleźć je można tuzinami w siodlarni każdego sportsmana, ale zawsze się okazuje, że tylko dwa lub trzy są używane.

Stajnia, w której nie wystarczałaby trendzla, i pelham musiałaby zawierać dziwny dobór charakterów i usposobień końskich.

Przypatrzmy się naprzód trendzli, która według najdawniejszych wizerunków, przedstawiających człowieka na koniu, musiała być prawdopodobnie najpierwiej używaną.

Wędzidło, które jest dziełem rozsądku prowadzącem do celu, jest doskonałem w swoim rodzaju; spoczywa ono łagodnie na języku i szczęce konia, dając możność kierowania nim bez bólu. Nieujeżdżony źrebak, nie doświadcza żadnej dolegliwości, nie lęka się go i swobodnie gryzie okrągłe żelazo, przewracając niem jak nową zabawką; wyuczony rumak łatwo odczuwa jego naciśnięcie, zmienia chody za najlżejszem poruszeniem ręki; hunter na niem się opiera, gdy grunt staje się ciężkim; a konia wyścigowego utrzymuje ono w pełnym biegu, nie zmniejszając jego szybkości i nie zużywając sił, któreby marnował w walce przeciw zbyt silnej zaporze. Słowem, najdoskonalej odpowiada celowi, dopóki jest właściwie użyty. Lecz jeżeli tylko koń podniesie łeb do góry i nacisk przeniesie na usta i zęby, lada uzdzienica, równie dobrą byłaby do kierowania nim. Z łbem do góry i pyskiem rozwartym, może iść gdzie mu się podoba. W podobnem położeniu trzeba bardzo doświadczonego i zręcznego jeźdźca, żeby przez zręczne chwilowe oddanie ręki uniknąć poniesienia. Gdy się koń wyrwie, czując, że stał się panem położenia, bardzo trudno będzie później odzwyczaić go od narowu.

Długie wieki upłynęły i jazda konna musiała być nieraz trudną, aż nareszcie dodano wytok do trendzli. Sądząc po marmurach Lorda Elgin, pożyteczny ten wynalazek musiał być nieznany w Grecyi, bo jakkolwiek na przepysznym fryzie, który niegdyś ozdabiał Panteon, postawa i sposób siedzenia jeźdźców są doskonałemi, niemniej niema ani jednego konia, któryby głowę trzymał normalnie. Starożytny Grek więcej, zdaje się, ufał sile, niż zręczności w kierowaniu szlachetnem zwierzęciem, i chociaż mocno na niem siedział, mógł nieraz mieć trudność w panowaniu nad niem.

Z wytokiem jednak najkrnąbniejszy koń prędko spostrzeże, że niełatwo mu będzie wyzwolić się z pod jarzma. Utrzymuje on głowę w postawie spuszczonej, tak, iż wędzidło może działać na usta, a jeżeli koń chce koniecznie ciągnąć, musi ciągnąć na tej najdelikatniejszej części szczęki. Niema rady, musi kark ugiąć, a ugiąć kark, znaczy to samo, co uznać pana, i hołd złożyć ręce, która nim kieruje.

Znaną jest rzeczą i której sam wypróbowałem, że skręcona trendzla z wytokiem wstrzyma rozpędzonego konia, kiedy wszelki inny munsztuk okaże się bezskutecznym, ale kierować koniem lub go zatrzymywać, używając siły fizycznej jedynie, nie jest sztuką, i kaleczenie mu ust w tym celu nie może doprowadzić do tej zgody w pragnieniach i zamiarach, którą sztuką jeżdżenia konno nazywamy.

Spoglądając na ryciny, przedstawiające naszych dziadów i pradziadów, polujących w początkach tego wieku, zauważymy: że na dziesięciu hunterów, dziewięć jest okiełznanych zwykłemi trendzlami, i zapytać nam przychodzi: czy nasi przodkowie chowali konie posłuszniejsze, czy też, pijąc więcej od swych wnuków, byli ludźmi tęższemi, odważniejszemi i lepszemi jeźdźcami niż oni. Nie wdając się w rozprawę nad zaletami psów, koni i ludzi, od których dzieli nas co najmniej dwa pokolenia, zdaje mi się, iż odkryłem prostą tego przyczynę.

Większa ilość tych rysunków przedstawia polowania w środkowych hrabstwach, gdzie w owych czasach, pola po większej części nie były przedzielane ogrodzeniami; te które istniały, były dużo niższe od teraźniejszych i nie tak mocne; wszystkie płoty z cierni, ktore teraz dają sposobność okazywania odwagi, lub lękliwości, nie istniały, lub trzymając się jeszcze blizko ziemi, same wymagały ochrony nizkiej baryery z każdej strony, to też ulubionym przedmiotem, który przedstawiają artyści ówcześni, jest sportsman z połami surduta polatującemi za nim, spokojnie przeskakujący owe przeszkody. Więcej nad dwudziestu lub trzydziestu myśliwych nie widziano, miejsca więc nie brakowało, a wiemy wszyscy jak koń jest łatwym do kierowania, kiedy inne konie nie najeżdżają nań. Pola te nie były też drenowane, a wiadomo, że najgwałtowniejszy wierzchowiec prędko ustanie, kiedy po kostki zapada się za każdym krokiem. Ręka i noga są głównemi pomocnikami jeźdźca, ale ojcowie nasi zdaje się, więcej używali ostrogi niż wędzidła.

Gdy sposób podróżowania wydoskonalił się, polowanie na koniu, które było zawsze ulubioną rozrywką Anglików, stało się modą dla każdego, kto mógł utrzymać konia, i niczem wydawała się noc spędzona w drodze, aby nazajutrz rano gonić lisa.

Liczba myśliwych coraz znaczniejszą się stawała, weszło w zwyczaj mieć drugiego konia na odmianę, i koleje jeszcze nie istniały, kiedy już na dziesiątki liczono czerwone fraki; teraz setkami się zbierają i prawdziwy tłum staje się przeszkodą w przyjemności.

Z drugiej strony stawiano ogrodzenia coraz wyższe i mocniejsze, ulepszony system gospodarowania dzielił i oddzielał pola i łąki; hunter musi zbierać nogi i co chwila przeskakiwać, co podnieca jego ducha, tembardziej, że musi to czynić pośród tłumu innych koni, ściskających, popychających i krzyżujących się.

W podobnych warunkach koniecznem było jak największą mieć władzę nad koniem, i użyteczne owe narzędzie, t. j. munsztuk zaczęło być ogólnie używanem.

Zdaje mi się, że nie potrzebuję tłómaczyć, iż mając przymioty trendzli, posiada w sile naciśnięcia przewagę, której mało koni potrafi się oprzeć. W zręcznych rękach, umiejących zarazem zmieniać i harmonizować ruchy obydwóch cugli, jakby grając razem na violinie i basie fortepianu, zdaje się jednoczyć myśli jeźdźca z ruchami konia, jak gdyby prąd elektryczny, przechodząc przez rękę, palce i pysk, łączył głowę jednego z wolą drugiego. Nacisk tego przyrządu może być tak urozmaicony, że pozwala na ciągłą zmianę stopnia swobody lub kierowania, co jest całą tajemnicą wygodnej jazdy. Jeżeli łańcuszek ścieśnimy, koń może wyciągnąć szyję, nie tracąc wiary w moralną podporę, którą ma w ręku jeźdźca i która jest taką dla niego podniętą, gdy nie czuje przytem bólu; jeżeli zaś wędzidło w ruch wprawimy, zwierzę zgina kark, co sprowadza

tylne nogi naprzód, tam gdzie ciężar jeźdźca spoczywa, to jest stawia je w tem położeniu, w jakiem zdolne jest do największych wysileń. Niechaj wędzidło będzie silne, czamka jego długa, a cugle najgrubsze, na jakie siodlarza będzie można namówić. Pierwsze zmusi konia do trzymania głowy na swem miejscu, drugie, gdy gładkie i grube ułatwiają podtrzymywanie konia i są wygodne dla jeźdźca.

Wspominałem o nadzwyczajnie lekkiej ręce pana Lovell (czemuż jedną tylko posiada); on to namówił mnie, żebym wypróbował jego własny wynalazek, którego dzięki delikatności jego ruchów używał z wielkiem powodzeniem.

Zamiast zwykłego wędzidła, kiełznał swego konia podwójnym rzemieniem szerokości zwyczajnego cugla, ale dwa razy tak grubym jak zwykły; rzemień ten spoczywał, jak wędzidło na języku i szczęce.

System ten udawał mu się wyśmienicie dzięki jego lekkiej ręce, dla mnie był zaś nieodpowiednim, bo się ze skórą obchodziłem nadto ostro, okazała się więc dla konia o wiele przykrzejszą, niż żelazo.

Koń źle ujeżdżony, a połowa hunterów, na których jeździmy, zaledwie zna pierwsze litery swej sztuki, spróbuje niejednokrotnie, rzucając głową, uwolnić się od ciśnięcia wędzidła i to właśnie w tej chwili, gdy mamy jaką trudność do zwalczenia.

Kto pewno trzyma się w siodle i nie wisi na cuglach (a radzę zanim spróbujecie skakać na luźnych cuglach, wypróbować pierwej swoje siły), może posilkować się martyngałem, przekładając cugle od munsztuka, które powinny być spięte na sprzęczkę, przez kółka wytoku. Powtarzam, że chodzi tu wbrew przyjętemu zwyczajowi o munsztuk, a nie o trendzel i zaraz to wytłómaczę [1]).

Koń z natury jest tak posłusznym, że gotów zawsze spełnić, co od niego żądają, byleby go nauczono rozeznać dobre od złego. Starajcie się więc zredukować wszystkie środki karcenia do jednego przyrządu. Skoro tylko podda się waszej woli, okażcie mu, dając mu więcej swobody, że zadosyć uczynił waszemu żądaniu. Gdy jednak wytok umieszczony jest na cuglu od trendzli, niepodobieństwem jest okazać mu swe zadowolenie. Chcąc uniknąć bólu, sprawianego mu przez wędzidło, opiera się na munsztuku, który go również uciska i czuje się zdziwionym i zniechęconym tem, że wszystkie jego usiłowania, aby się panu przypodobać, sprowadzają mu jako rezultat, jeszcze większy ból.

Oto co może się stosować do konia; a teraz co dotyczy jeźdźca. Przypuszczam, że używa on zwykłego martyngału, przytwierdzonego do napierśnika, a nie do popręgów, trzeba także uważać, żeby kółka były tak małe, żeby nie mogły przesuwać się przez koła munsztuka; niemiłe to położenie, kiedy koń ma przskoczyć przez baryerę a nos jego znajduje się przytwierdzony do kolan.

Nie trzeba też z początku zbyt przykracać martyngału, lepiej stopniowo do niego ucznia przyzwyczaić, i pamiętać, że wszystkie konie nie są jednakowo zbudowane, niektóre tak mają głowę osadzoną, że muszą nosić ją wyżej, i jakby mogło się wydawać w niewłaściwej pozycyi. Nauka zawsze powinna być łagodnie stopniowaną, tak względem konia, jak i człowieka. Przedewszystkiem trzeba mieć wzgląd i na to, żeby koń to robił, co chcemy, ale gdy główny warunek zostanie osiągnięty, bardzo ważnem jest, aby nasze życzenia były podzielane i żeby miał przekonanie, że dobrowolnie pracuje na usługę naszą. Niezbędnem jest używać w tym celu wędzidła, do którego nie ma wstrętu, ale zarazem nie ma ochoty wyłamywać się z pod jego naciśnienia. Niejeden biegun śmiały i gorący, ale miękkiego pyska, co się często zdarza i to w połączeniu z potężną akcyą tylnych ścięgn i zadu tak cennych w hunterze, pogardza łagodnym naciskiem trendzli, a gwałtownie się zżyma przeciw surowej przemocy munsztuka.

Dla takich to koni, potomek szlachetnej rodziny, która wydała niejednego doskonałego jeźdźca, wymyślił wędzidło, które, jak twierdzą przeciwnicy, łączy wady obydwóch, t. j. trendzli i munsztuka, i nadał mu swoje imię.

W Anglii panuje ogólne uprzedzenie przeciw pelhamowi, w Irlandyi owszem ogólnie jest używanym. Tak jak wszystkie wędzidła specyalnego ustroju, jest dobrym tylko dla pewnych koni, ale ja sam miałem kilku doskonałych hunterów, które szły swobodnie tylko w ten sposób okiełznane.

(D. c. n.)

[1]) Poglądy autora odnośnie do martyngału i munsztuka (lub pelhamu) są oryginalne, ale niezgodne z klasycznemi zasadami jazdy konnej. Zakładanie wytoku na munsztuk jest zawsze bardzo niebezpieczne, szczególniej gdy się ma skakać i galopować, a jeździec o najlżejsze ręce nie może być pewnym, czy zawsze przed przeszkodą będzie mógł „rękę oddać“. Odpowiednie i stopniowe wyrobienie pyska konia, oraz przygotowawcze ujeżdżenie go, przewyższa wszelkie hamulce, które im są ostrzejsze tem są niebezpieczniejsze. Nad wszelki martyngał stawiamy wyżej wprawną rękę jeźdźca, która umiejętnie normuje, sposobem trzymania cugli, głowę konia.

(Redakcya).

Z PIŚMIENNICTWA.

„Kazimierz Wodzicki jako myśliwy“, napisał Aleksander Rembowski. (Nakładem Gebethnera i Wolffa 1891).

Kazimierz Wodzicki, znakomity znawca przyrody, nemrod naszego myśliwstwa, w „Zapiskach ornitologicznych” i innych pracach, drukowanych tu i owdzie, rozrzucił skarby nieocenionych obserwacyj z życia zwierzęcego naszych pól, lasów i kniei. Obserwacye te, prowadzone z całem zamiłowaniem przyrodnika i myśliwca, przedstawił w barwnych obrazkach, świadczących o bogactwie jego artystycznej palety.

Jako znawca i cennych rzeczy amator, z niemałym trudem i umiejętnością pozbierał to wszystko Aleksander Rembowski—i streściwszy z całem poszanowaniem dla autora i umiłowaniem przedmiotu to, co streścić było można, przytoczywszy mnóstwo pięknych ustępów *in extenso* i zaopatrzywszy to wszystko własnemi uwagami krytycznemi, dał nam studyum o Wodzickim, które zarówno myśliwego, uczonego przyrodnika, jak i każdego ciekawego nowych rzeczy czytelnika, jednako zająć potrafi.

Owe liczne, przeważnie na źródłowych badaniach oparte uwagi Rembowskiego i liczne, w cudzysłowie cytowane, ustępy z prac Wodzickiego, nasuwają na myśl wniosek, że na tę nową książkę złożyły się dwa tęgie umysły, dwaj dzielni myśliwi i dwa talenta pisarskie, przeto nic dziwnego, że czyta się ją jednym tchem od początku do końca, niby najciekawszy romans.

Al. Rembowski, zaznaczając na wstępie stanowisko Wodzickiego jako pisarza, wyrywa go niemal przemocą z szeregu uczonych naturalistów, a stawia przedewszystkiem na piedestale myśliwego, obdarzonego wielkiem poczuciem natury i talentem malarza.

„Każdemu z sędziwych nemrodów—pisze dr. Rembowski—„Zapiski” Wodzickiego pachniały żywicą puszcz lub sianokosem rozległych łąk. Z obrazów jego zdawał się podnosić opar, osłaniający wieczorem lesiste moczary lub pierzchały poranne mgły przed promykiem wschodzącego słońca, zaklętego w jego opowieści. Gwary radosne wiosennych przybyszów, zarówno jak i smętne, przed odlotne sejmy ptasie, niepochwytny, a tak różnolity czar lasu w czterech porach roku—cały ten i tak pełny skarb naszej natury przedstawił Wodzicki w swoich pracach”.

Ustęp ten z dzieła Rembowskiego świadczy, jak pięknym językiem pisana cała rozprawa.

W dalszym ciągu autor przebiega po kolei mało ogółowi znane prace Wodzickiego. Pisze więc o „Wycieczce ornitologicznej w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 roku", w której Wodzicki notuje swoje spostrzeżenia: o sępie tatrzańskim (vultur) i naszym (cinereus), o strzyżyku (troglodytes), pomurniku (tichodroma) i wodnokosie (cinclus aquaticus); dalej obszernie traktuje niezmiernie ciekawą rzecz o „Sokolnictwie" (wychów układanie, oraz polowanie z sokołami na ptastwo i zające); „Wspomnienia z życia łowieckiego" Wodzickiego zawierają bardzo interesujące spostrzeżenia o niedźwiedziu i dziku; nieoceniona „Ruja sarn" i ciekawe sylwetki „Kłusowników" różnego rodzaju poprzedzają w dziele Rembowskiego rozbiór samych „Zapisków ornitologicznych", które obejmują monografie: bociana, jaskółki, jastrzębia, kuropatwy, wróbla, kukułki, kruka, orła, skowronka i słomki. Szczegóły o odlotach i wędrówkach różnych ptaków są nad wyraz ciekawe i pouczające.

Pod koniec swojej rozprawy Al. Rembowski tak pisze: „Zapoznanie się z treścią „Zapisków ornitologicznych" oddziaływać będzie zawsze jaknajkorzystniej na wykształcenie myśliwego i wpłynie niewątpliwie na uszlachetnienie tej namiętności. Reumann, przed pół wiekiem prawie, słusznie narzekał, że wykształcenie starych myśliwych polega głównie na tem, aby umieli nabijać strzelbę i celnie strzelać, rezultatem zaś takiej edukacyi musiało być wytrzebienie zwierzyny i wypustoszenie lasów. Tymczasem „Zapiski ornitologiczne" starają się z myśliwego uczynić zabiegliwego gospodarza zwierzyny i wszczepić weń uczucia humanitarne zarówno jak i estetyczne. Niewątpliwie też „Zapiski" zwalczają i zwalczać będą wszelkie kłusownicze nawyknienia, jakie się przechować zdołały w drużynie myśliwskiej naszego kraju i dla śpiewaków leśnych nie przestaną wyjednywać życzliwości, a dla zwierzyny w czasie trosk rodzinnych i w epoce klęsk zimowych, łaskawej protekcyi i opieki myśliwego".

Niestety, w ciągu pół wieku tak się kształcenie myśliwego mało zmieniło, że i dziś jeszcze narzekania Reumanna, z małemi wyjątkami, miałyby najzupełniejszą racyę bytu. To też, podzielając najzupełniej wiarę szanownego autora w umoralniający wpływ odpowiednich dzieł na rzeszę myśliwską, nie możemy dość zalecić naszym czytelnikom, aby się szczegółowo zapoznali tak z tą nową książką, która jest niezmiernie cennym nabytkiem dla ubogiej naszej literatury myśliwskiej, jak i pełnemi interesu „Zapiskami" Wodzickiego.

J. Z.

Wyszła świeżo w Paryżu książka dobrze napisana o użyciu konia w polu, na polowaniu, przez wiece-hrabiego de Chezelles. Tytuł książki: „Jeździec jako żołnierz i myśliwy",

Pan Chezelles nie bez słuszności dowodzi, że najlepsza szkoła do wyrobienia kawalerzystów jest polowanie konne, dające praktykę tak różnorodności przeszkód, trudności gruntu jak i sposobów ochraniania sił konia w długim pościgu.

Rozdziały o kuciu koni i ich żywieniu są również bardzo racyonalne, a poglądy co do pokarmów nawet nowe; p. Chezelles albowiem wnioskuje, że pokarm nazbyt obfity na raz dany jest szkodliwy, że nie należy zwierząt przekarmiać, tylko je dobrze żywić, że jednostajność strawy jest również niezdrową i pożywienie im więcej będzie urozmaicone, tem korzystniej oddziała na organizm i będzie chętniej spożyte.

Rozmaitości.

Nominacya. P. Stanistaw Wotowski, cyrkularzem ministeryalnym z dnia 4 Listopada, zamianowany został pomocnikiem hr. Niroda, zarządzającego janowskiem stadem. Jednak naznaczenie to, nie przyniesie żadnej zmiany w dalszem wydawnictwie „Jeźdźca i Myśliwego", który, jak po dziś dzień, będzie wychodzić pod jego wyłączną redakcyą.

Janowskie reproduktory. Zapisy klaczy pełnej krwi do Braconniera i Roehamptona już są zamknięte. Deklaracye można jeszcze składać do Kordyana, Le Panisel, Consula i Piklocka. Ostatni, jako reproduktor, odznaczył się tej jesieni w Niemczech, o czem już wzmiankowaliśmy; a świeżo w dniu 31 października w Charlotenburgu w gonitwach z przeszkodami ze znaczniejszemi nagrodami wygrały: 3-letnia „Miss Koni" i 5-letni „Wilddieb", jego dzieci.

Meldunki. Dyrekcya towarzystwa Wyścigów Konnych rozesłała blankiety do zapisów koni do gonitw z wczesnemi meldunkami. Dnia 31 Grudnia zamykają się meldunki do: Oaksu (przepadak 15 rs.), handicapu Rulera (przepadek 15 rs.), handicapu imienia hr. J. Zamoyskiego (przepadek 10 rs.). Do nagrody Przychówku na rok 1895 zapisuje się matkę, opłacając przepadek 10 rs. Do nagrody specyalnej Głównego Zarządu stad rządowych melduje się roczniaki (przepadek 25 rs.) do 12 stycznia 1892 r.

Roboty. Zakładanie drenów na torze wyścigowym zostało prawie ukończone. Wewnętrznie po za szrankami został wybrany rów odpływowy, mający się łączyć z dużym rowem poprzecznym po za parkanem, który ma prowadzić wodę do rowu przy szosie.

Robotami kierował inżynier p. Bierkowski.

Tor zadarniony został nawieziony gnojem, zakupionym w Łazienkach w stadninach kawaleryjskich.

Sprowadzenie. Roczniaki „Tapageur i Prezzo, które p. J. Reszke nabył w Paryżu na licytacyi koni p. Lupin, już zostały sprowadzone do Borowna, majątku jego szwagra p. A. Michalskiego, gdzie się znajduje stajnia treningowa.

„Ruski Sport" w numerze z 14 listopada zapowiada opis stad pełnej krwi i rozpoczyna ich szereg stadem w Łosiu p. W. Mysyrowicza, dołączając i podobiznę naszego hodowcy.

Triton. Znany czteroletni syn Tipheusa i Baronessy, jak wiadmo, został nabyty od hr. A. Niroda przez Główny Zarząd stadnin za 30000 rs. i wysłanym został do Moskwy dla rozpoczęcia na przyszłą wiosnę swej reproduktorskiej działalności. „Triton" ma odchowywać klacze pełnej krwi na następujących warunkach:

1) Deklaracye hodowców będą przyjmowane tylko do 13 grudnia.

2) Liczba ogólna klaczy ogranicza się do dwudziestu.

3) Odchowywanie rozpoczyna się 27 lutego 1892 roku i kończy się 27 czerwca tegoż roku.

4) Opłata za odchowanie klaczy naznacza się 100 rs.

5) O ile by liczba klaczy przewyższała dwadzieścia, to te będą miały pierwszeństwo, które same lub swym przychówkiem zdobyły jak największą liczbę nagród.

7) Jeżeli do 12 Grudnia będzie zapisanych mniej niż 20 klaczy, to matki będą odchowywane w stosunku, jak się będą wyźrebiały, chociażby tak one, jak ich przychówek, nie odznaczał się na torach.

„Tryton" stoi w rządowej stajni na Powarskiej ulicy.

Orme (Ormonde i Angelica po Galopin i St. Angela) okazał się tej jesieni najlepszym dwulatkiem w Anglii. Na kilka występów raz tylko jeden był drugim, kiedy walczył ze starszemi końmi, ale miał za sobą „Gouverneura" i „Alicante".

Zwycięstwa „Orma" tem silniej zachęcają do sprowadzenia niezwalczonego w swoim czasie „Ormonda" z Ameryki. Wzmiankowaliśmy, że ten projekt ma wielu przeciwników, którzy wychodzą z zasady, że „Ormond" ma być „rorer"; bardzo jest ciekawem, które ze stronnictw zwycięży, czy partya „ormondzistów", czy „anti-ormondzistów".

Triumph, wiedeński derbista, czynnym będzie w r. b. w *Angern*, miejscowości położonej o godzinę drogi koleją żelazną od Wiednia. Właściciel tego ogiera nabył w tym celu miejscowość, którą zamierza urządzić podług wszelkich tegoczesnych wymagań.

„Triumph“ na ostatniej międzynarodowej wystawie w Wiedniu zwracał uwagę znawców i hodowców piękną powierzchownością, siłą i pyszną budową kostną. W swoim czasie biegał znakomicie, wygrał Derby i kilka klasycznych nagród w wielkim stylu. Cena odchowania naznaczoną została 200 fl. Klacze, które się same odznaczyły na torach lub matki zwycięzców mają być odchowywane darmo.

Ogier ten pochodzi od Triumpha po Buccaneer i Alix Buquetière po Blinkholie i Flower Girl.

Poszukiwane są do bateryi artyleryi gwardyi do Petersburga sześćdziesiąt koni, wychowanych w guberniach Królestwa Polskiego. Koń na miejscu lub loco Warszawa może być płacony do 215 rs. Przyjmują się konie 4 i 5-letnie gniade i s-gniade nie mniejsze jak 2 ar. 3 werszki. Oferty uprasza się przesyłać do redakcyi „Jeźdźca i Myśliwego“. W razie niedostatecznej liczby deklaracyj, zakupy nie będą miały miejsca.

Hilman były trener hr. J. Potockiego został publicznym trenerem w Kijowie.

Próby chartów na Chordyńskiem polu naznaczone były na 1 i 2 listopada, ale, że sprowadzono niewielką liczbę psów odbyły się tylko pierwszego dnia.

Popisy zainaugurowano rozegraniem Produce na 700 rs. W tej próbie brało udział pięć chartów, które puszczano parami i sędziowie jednomyślnie przyznali pierwszeństwo suce „Arabce“, która po kilku obrotach, jakby naganiając na siebie zająca, schwyciła go nader zręcznie i wprawnie. „Arabka” jest własnością hr. Musin Puszkina. Drugi to rok z rzędu pies rasy angielskiej bierze tę nagrodę.

Następną nagrodę 150 rs. zdobył „Dżem”, sprowadzony z Anglii p. G. Kristi, biorąc przewagę w podwójnej próbie nad czterema psami.

Po próbach szybkości, nastąpiły próby siły i zaciekłości i zające zostały zastąpione wilkami.

Do pierwszej nagrody 200 rs. zostały zapisane dwa charty długowłose, ale do konkursu stanęła tylko „Zanoza” ks. N. Wodbolskiego, biała z łatami.

„Zanoza” zrazu dogmała i przewróciła wilka i dwóch dojeżdżaczy przydusiło go, a suka wówczas schwyciła wilka za ucho. Podobny pośpiech ze strony dojeżdżaczy nie zgadza się z przepisami i mógł wywołać spór, co do wydania nagrody, jednak sędziowie premium przyznali „Zanozie” bez powtórzenia pościgu.

Ostatnia nagroda 300 rs. była przeznaczona dla chartów w pierwszem polu. Do próby stanęły trzy psy: ks. N. Wodbolskiego „Karaj”, maści centkowanej, N. Bibikowa „Lebed” biały i W. Nasonowa „Dorogaj“ z gniademi odmianami.

Psy były puszczone pojedyńczo, po numerach, jak były zapisane, ale żaden wilka wziąść nie mógł, nie odpowiedział warunkom i nagroda rozegraną nie została.

„Karaj“ dopadłszy wilka tylko go szczypał i musiała mu być do pomocy dodana sfora chartów, bardzo ciętych p. Glebowa, „Lebed” również nie mógł dać sobie rady z wilkiem i należało znów puścić sforę rezerwową.

„Dorogaj“ okazał się najwięcej biorczym i śmiałym, niemniej pościg wypadł dlań nieszczęśliwie: gdy wypuścili wilka z klatki, zwierz zaczął uciekać szybko w prawo, dognany przez charta, jak zając, zwrócił się nazad. „Dorogaj” pomimo zbytecznego rozmachu i stracenia terenu doszedł znów wilka, lecz łapiąc go, nie *mógł* się utrzymać na nogach, skoziołkował się wraz ze zwierzem i w upadku znalazł się pod nim. Przez chwilę przytrzymał jednak przeciwnika, potrząsał nim jak lisem, ale wilk wyrwał się i znów uchodził, chart go ponownie dopadł i tak już blizko publiczności, że należało puścić dla bezpieczeństwa rezerwową sforę.

„Dorogaj” wysłanym został do Petersburga na nowe próby charcie, które miały się odbyć 6 i 7 listopada i można wnioskować, że się tam odznaczy.

Popisy miały miejsce na polu a nie w hipodromie wyścigowym, albowiem dyrekcya towarzystwa moskiewskiego swoich szranek nie dozwoliła. Miejsce wybrane do prób było ogrodzone parkanem. Wyścigi były urządzane przez Cesarskie Towarzystwo racyonalnego polowania.

Z hodwli austryackiej Po każdym ukończonym sezonie wyścigowym pojawiają się liczne tabele statystyczne, żadna jednak nie przedstwia tyle interesu, nietylko dla właścicieli stajen wyścigowych, ale i dla hodowców, co lista pochodzenia ogierów, które się najbardziej odznaczyły na torze. Jestto niejako drogowskaz dla zajmujących się hodowlą, pouczający ich, jak mają rozporządzać swemi klaczami, w nadchodzącym sezonie pokrywania ich.

Wychodząc z tej zasady „Allgemeine Sport Zeitung” podaje listę koni, które wygrały więcej niż 10,000 fl. w r. b. przytaczając ich pochodzenie, oraz hodowców. Wiedeński dziennik podnosi przytem z widocznem zadowoleniem, że konie te po większej części pochodzą od ogierów z Kisber i były wychowane w kraju, przeważnie u właścicieli, pod których barwami biegały.

Konie, które wygrały największe sumy pieniężne „Achilles II” (65,125 fl.) i zdobywca *San-Stephan Preisu*, "Eretnek" (37,330 fl.) pochodzą od „Ruperry”, który na nieszczęście niedawno padł. „Achilles II“ wychowany był u bar. Uechtritza i pod jego barwami biegał. „Eretnek” pochodzi ze stada p. v. Luczenbacher'a, a obecnie jest własnością p. v. Péchy.

Klacz 4-let. „Weather”, która wygrała w tym roku Jubiläums preis (ogólna suma wygranych 23,905 fl.), pochodzi od „Doncaster'a” lub Kisberöcscse, prawdopodobniej od tego ostatniego, wychowana była jednak u swego obecnego właściciela hr. Hunyady. Od Kisber-öcscse pochodzi również jeden z najlepszych dwulatków tegorocznych „Hires”, wychowany u p. v. Jankovich (wygrał 25,160 fl.).

Najlepszy dwulatek „Trick-Track”, który na liście wygranych zajmuje trzecie miejsce (34,375 fl.). jest po „Verneuil”. Ogier ten, jak wiadomo, padł niezbyt dawno temu, a czynnym był w rządowem stadzie. „Trick-Track” jest własnością p. A. Drehera i u niego wychowany. Syn „Sronziana”, 4-let. „Aspirant”, zdobył w r. b. 23,625 fl. Wychowany w Nordkirchen, stadzie br. Esterhazego, pod jego też barwami zbierał wawrzyny na wszystkich torach Austro-Węgierskiego państwa i dopiero teraz sprzedany został hr. Hahn. „Stronzian” od roku znajduje się w stadzie w Totis.

Dwuletni „Gaga”, który w tegorocznej kampanii wygrał 23,205 fl. nabytym został źrebięciem w Anglii przez p. v. Keczer i hr. Batthyani, a pochodzi od „Galopin'a. „Benczur” (21,970 fl.) jest synem „Doncastera” i jest nadzieja, iż poprawi reputacyę swego ojca, gdyż na nim nie sprawdza się zarzut niewytrzymałości, robiony dzieciom angielskiego derbisty. „Benczur”, tak jak i „Achilles II”, wychował się w stadzie bar. Uechtritza.

Doskonała 3-let. klacz „Nini“ (20,500 fl.), jest pierwsza z dotąd wymienionych koni, która pochodzi z prywatnego stada, gdyż jej rodzice „Pancake” i „Neudau” znajdowali się oboje w stadzie hr. Hencla w Carlburg. „Pancake” po śmierci właściciela przeszedł w posiadanie hr. St. Genois i stoi w Eleonorenhofie, gdzie prawdopodobnie w r. 1892 dostanie więcej i lepszych klaczy, niż dotąd.

„Garlick'a” (18,600 fl.), ojciec „Elemer”, jest zawsze w stadzie hr. Beli Zichy, który, jak dotąd, wcale mu wielkiego zaufania nie okazywał i dawał mu bardzo mało klaczy pełnej krwi.

Dalej na liście widzimy: „Hösnö” od „Pasztora” (18,200 fl.), własność i wychowaniec p. v. Blaskovits. „Crosbow” od „Insulaire” (16,200 fl.) nabyty jaerlingiem na licytacyi za 2300 fl. przez p. Schindlera, wychowany u hr. Forgach. „Mac Intosch” od Hermita (12,560 fl.) bar. Rothschilda.

„Gutkeled" od „Craig Millara" (12,560), właściciel i hodowca bar. Uechtritz. „Lissa" od „Kisber" (11,775 fl.), własność hr. Apponyi, wychowany u p. Baltazzi. „Dragonnier" od „Y Buccaneer" (11,720 fl.), własność i wychowany u bar. Springera. Kończy listę córka „Verneuila" „Marie Therese" hr. Apponyi, która klasą stoi wyżej od wielu koni szczęśliwszych od niej, gdyż jej wygrane dochodzą tylko 11,250 florenów.

Willam został wydzierżawiony na lat trzy przez p. Egyedi i w stadzie tego hodowcy na Węgrzech stać będzie. Do syna Vederemo przyjmowane będą i obce klacze, a cena za odchowanie oznaczoną została 150 fl.

Mirabeau. Propozycya robiona przez hr. Lehndorffa p. Aumont kupna „Mirabeau" została przez właściciela odrzuconą.

Ormond. Wspólka która miała zakupić „Ormonda" nie przedstawiła dostatecznych gwarancyj i owi nabywcy okazali się zwykłemi aferzystami.

Auteuil. W dniu 1 listopada duży wyścig z płotami, dystans 2600 metrów, przeznaczony dla koni trzyletnich, wygrał nadzwyczaj łatwo „Le Butard" (Energy i La Molage) p. G. Ledat. Drugim był „Mondeville" p E. Fauld, trzecim „Mandragore" tegoż właściciela. Ogółem startowało ośm koni i w tej liczbie „Goumeux" i „Jamais" p. J. Wysockiego, które przyszły bez miejsca. Nagrody wynosiły: 25000 fr. pierwszemu koniowi. 3000 fr. drugiemu, 2000 fr. trzeciemu oraz premie hodowcom: 1800 fr. p. E. Blanc, 3000 p. Ledat i 1000 fr. p. Fauld.

Tegoż dnia „Steeple-Chase handicap na dystansie 5000 m. wygrał „Silversmith (4 l. 70 k. Bruce i Spirite) p. Dousdebes. Drugie miejsce zajęła znana „Saida" 5 l. 80 k.) bar. Finot, trzecim „Caline" (4 l. 60 k.) H. Andrusta. Wszystkich koni mierzyło się w tym wyścigu ośm, jeden przewrócił się „Coelir", br. de Ganay.

Wysokość nagród: 14,150 fr., 2,500 fr. i 1,500 fr. — oraz premium p. A. Foreinol 1800 fr.

W handicapie z płotami na mecie 4000 m. zabił się na miejscu 4-letni „Figaro" p. C. Blanc.

W dniu 3 listopada mała „Saida" (Clocher i Artinoe) miała rewanż za swą przegraną w Wielkiej nagrodzie jesiennej i zwyciężyła na 4200 m. niosąc 78 kil., wygrała 14050 fr. Wprawdzie kompania była dość średnią. Startowało z klaczą bar. Finota koni cztery.

Kairouan, dwuletenia źrebica po znanym „Le Destrier" i „Khabara" okazała się jedną z najwybitniejszych przedstawicielek swojej generacyi we Francyi, i świetnie wygrała w Vincennes nagrodę 10000 fr., bijąc sześć koni.

Klaczkę „Kairouan" przed wzmiankowanym wyścigiem w Vincennes wykluczyli z nagrody nazwy Masseliere dlatego, że jej właściciel p. C. Blanc napisał w meldunku *Kérouan*, zamiast właściwego nazwiska.

Ormond. Znany hodowca angielski H. Chaplin utrzymuje, że dzieci „Ormonda" są skłonne do choroby zwężenia krtani (rorer). Z tego powodu sprowadzenie z Ameryki tego słynnego konia byłoby więcej szkodliwem dla hodowli krajowej niż pożytecznem.

Psy gończe. Anglia i Irlandya posiadają w tym roku 359 psiarni gończych, czyli o 11 więcej niż w roku zeszłym. Pomiędzy temi psiarniami 17 jest specyalnych na jelenie (stag hounds), 181 na lisa (fox hounds), 137 psiarni do kniei i 24 beaglów.

W Ameryce sezon wyścigowy już się skończył. Największą summę pieniężną 163,512 dolarów wyrała stajnia Mr. Dwyer; panowie J. A. i A. H. Morris zajmują drugie miejsce 145,532 dol.; pan Lewee wygrał 105,855 dol.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, największą i to nawet bardzo pokaźną cyfrę, zdobywa dwulatek, mianowicie „His Highness", którego wygrane dochodzą 107,785 dol. Drugie miejsce przypada derbiście „Strathmeath" i to tylko sumą 36,270 dol. „Potomac" zapracował 26,030 dol.; „Rey del Rey" 29,887 dol.; „Tammany" 29,810 dol. i t. d.

Hr. Lehndorffowi w dniu jego jubileuszu przybyli umyślnie w tym celu do Graditz p. v. Hausen, hr. Borcke i jenerał v. Podbielski wręczyli w imieniu Union-Klubu wyrobioną ze złota statuetkę derbisty „Petera".

Sport-Klub hamburski przesłał jubilatowi adres wręczony mu przez p. Beist.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. J. K. Następujące podręczniki, o które Sz. Pan zapytuje są w języku polskim: 1) „O jeździe konnej wyższej" pisał p. Rewieński, książkę jego można dostać u Gebethnera i w innych księgarniach; 2) „O trenowaniu" opracowywał p. Biesiekierski, również S. Wotowski pomieszał swoją pracę w „Encyklopedyi Rolniczej", wydanej zeszytami przez redakcyę „Hodowcy" 1890 r. 3) „O hodowli koni" możemy rekomendować tłómaczenie cennego dzieła hr. Lehndorffa, które wyszło nakładem księgarni Gebethnera 1885 r. i nosi tytuł „Przewodnik dla hodowców koni". Artykuły o przygotowaniu koni do gonitw będą pomieszczane i w „Jeźdźcu i Myśliwym". Należność za kwartał jeden wynosi rs. 2. Nr. 13 „Jeźdźca i Myśliwego" wyszlemy powtórnie.

OGŁOSZENIA.



Дозволено Цензурою. — Варшава, Ноября 19 дня 1891 года.

Druk Noskowskiego, Mazowiecka 11. Redaktor i Wydawca: ***Stanisław Wołowski.***